

„NIE POKAZUJĄ ŻADNYCH TREŚCI”

– mówi o swoich obrazach

Zdzisław Beksiński

(„Tygodnik Sanocki”, 18.081995r.)

– Skąd ród Beksińskich wziął się w Sanoku?

– Zdzisław Beksiński: Pyta pan o rzeczy, które zawsze są najtrudniejsze. Historia zaczyna się dla mnie gdzieś w czasach Bolesława Bieruta, a co działo się przedtem, jest dla mnie bardzo wielką tajemnicą.

Wydaje mi się, że bodajże pradziadek – powstaniec 1863 roku – przeniósł się z miejscowości w zaborze rosyjskim zwanej Koprzywnica, do Sanoka. Później ze swoim kumplem Lipińskim założyli kotłarnię, z której w drodze przemian powstała dzisiejsza fabryka autobusów.

– Czy może Pan przybliżyć sprawę swojego wyjazdu z Sanoka?

– Dom, w którym mieszkałem, miał być wyburzony. W związku z tym szukałem jakiegoś mieszkania zastępczego. Do wyboru był blok w Sanoku, ale ponieważ ja żyłem w oparciu o Warszawę – sprzedawałem tam obrazy, a wysyłałem je zawsze dużym nakładem i kosztów – więc pomyślałem, że przeniosę się do Warszawy. Stolica była wtedy miastem zamkniętym, istniała jednak pewna droga umożliwiająca zameldowanie w BHZ „Lokum” należało nabyć za dewizy mieszkanie i wtedy automatycznie otrzymywało się meldunek. W tej sytuacji wszystkie pieniądze jakie miałem władowałem w mieszkanie BHZ „Lokum”, i tym samym stałem się obywatelem Warszawy.

Zawsze lubiłem większe miasta. Gdybym mógł, to przeprowadziłbym się do Nowego Jorku.

– **Jest Pan rzadkim gościem w naszym mieście.**

– Tak, ale nie z przyczyn – powiedzmy – bezpośrednio ode mnie zależnych. Po prostu, w tej chwili mam w domu dziewięćdziesięcioośmioletnią teściową, którą trzeba się opiekować. To główny powód mojej trzyletniej nieobecności w Sanoku.

– **Czy chciałby Pan wrócić do rodzinnego miasta?**

– Chyba nie... Jestem za stary, aby zmieniać cokolwiek. Mieszkam siedemnaście czy osiemnaście lat w Warszawie, i przywykłem do tego miasta. Moja żona bardziej tęskni, ale nie za Sanokiem, lecz za naszym sanockim domem. Syn też tęsknił do pewnego

momentu, ale ja w ogóle nie przywiązuję się do miejsc. Nie związałem się z Warszawą i gdybym mógł przeprowadzić się do większego miasta, to być może jeszcze pewien wysiłek bym w tym celu poczynił, chociaż przy sześćdziesięciu latach taki trud ma się mniejszą ochotę podejmować.

Mam nadzieję, że nie obraziłem pana jako sanoczanina, ale naprawdę jakoś specjalnie nie przywiązałem się do Sanoka, mimo, że jest to moje miasto rodzinne. Ono pojawia się tylko czasem w snach... Poza tym pewne struktury planu Warszawy nakładają się na struktury planu Sanoka. Jeśli jadę jakąś ulicą w stolicy, wydaje mi się, że to jest ulica w Sanoku, tak, że czasami mam wrażenie, iż po prawej mijam miejsca rodzinnego miasta...

– W liceum na lekcji pracy techniki opracowaliśmy kiedyś stare tabele. Wśród nich był poślizgnięty karton abiturientów z 1947 roku, przedstawiający robotnika z potężnym

młotem w ręku, w tle widać było wielką fabrykę, w dolnym rogu znajdował się podpis: „Z. Beksiński”. Już wtedy zajmował się Pan rysowaniem?

– Jeśli idzie o to tablo, najprawdopodobniej wykonałem je za pieniądze, jeśli sobie dobrze przypominam, będąc już na studiach w Krakowie. Była mi po prostu potrzebna forsa.

Od wczesnego dzieciństwa rysowałem. W liceum byłem z tego znany. Miałem nawet wystawę w szkole.

– Skąd więc decyzja żeby studiować architekturę na Politechnice, a nie na przykład rysunek na ASP?

– Nigdy nie chciałem iść na ASP, podkreślam to zawsze w wywiadach. Po maturze planowałem zdawać na Wyższą Szkołę Filmową w Łodzi. Gdy się tam wybierałem

kręcono już drugi rok „Zakazane piosenki” – pierwszy po wojnie film fabularny. Szkoła Filmowa w Łodzi miała zaś wypuszczać dwudziestu czterech absolwentów rocznie. Mój ojciec uważał, że w tej sytuacji nie będę miał najmniejszych szans na znalezienie pracy. Polska była wtedy zniszczona – myślał więc, że architekci będą mieli szalone możliwości dochodu. Nie wiadomo było jak ma wyglądać socjalistyczne biuro projektów – ojciec sobie wyobrażał, że zostanę prywatnym architektem, który będzie miał dziesiątki zleceń. Powiedział, że sfinansuje mi studia na architekturze, a gdy je skończę, sfinansuje mi studia w Szkole Filmowej. Skończyłem architekturę w okresie stalinizmu i dostałem trzyletni nakaz pracy. Gdy go odrabiałem, zmarł ojciec i nie miał mi już kto finansować studiów na WSF. Poza tym, filmy, które kręcono w okresie socjalizmu, nie wzbudzały we mnie najmniejszej ochoty na studia artystyczne. Na dodatek wyobrażałem sobie, że stalinizm nigdy się nie skończy, wobec tego straciłem zacięcie do sztuki, a do sztuki filmowej w szczególności.

– Kiedy zaczął Pan tworzyć, mieszkał Pan w małym podkarpackim miasteczku z dala od tak zwanego „środowiska”. Nie odbywały się tam żadne wystawy, wernisaże... Czy ta izolacja pomogła Panu czy zaszkodziła?

– Być może, że mi zaszkodziła, gdyż ja sam z natury rzeczy nie miałem skłonności do tego, by robić własne wystawy, żeby wkładać w to jakikolwiek wysiłek. Zupełnie zadowalało mnie malowanie obrazów.

Jeśli idzie o odcięcie od środowiska to ja – zapewne z natury rzeczy – jestem z dala od środowiska. Tak samo jak byłem odcięty od niego w Sanoku, tak samo jestem wyizolowany w Warszawie. Środowisko mnie nigdy specjalnie nie interesowało. Prawdopodobnie, gdyby to zależało tylko ode mnie, to mając 66 lat, nie miałbym jeszcze ani jednej wystawy. Tyle, że tym zaczęły interesować się inne osoby i o ile te inne osoby chciały robić moją wystawę i włożyć w to jakiś wysiłek, no to wystawa powstawała. Dzieje się tak do chwili obecnej.

– Pana obrazy, te malowane w Sanoku, były uważane przez mieszkańców miasta za dzieła, najdelikatniej mówiąc, nietypowe ich autora zaś brano za dziwaka...

– Nie zastanawiałem się wtedy jak jestem postrzegany. Wiedziałem, że w jakimś tam sensie nie spełniłem oczekiwań środowiska. Mój dziadek i ojciec należeli do tzw. grupy ojców miasta, którzy udzielali się w rozmaitych komisjach i tak dalej... Wobec tego ja jako wykształcony architekt i jako kierownik budowy miałem „zielone światło” w ówczesnym magistracie. Mogłem zająć stanowisko po ojcu i po dziadku – chodzić na komisje, sprawdzać czy śmietniki zostały właściwie oczyszczone...

Tymczasem ja zajmowałem się dziwnymi rzeczami, czyli malowaniem obrazów i kompletnie olałem swoją pracę architekta. Uciekałem o ile się to tylko dało z placu budowy do swojej pracowni pod pozorem, że jestem na przykład w „Nafcie” czy u jakiegoś innego inwestora. W związku z tym w mieście zapewne panowała opinia, że

jestem zwyrodniałą gałązką czcigodnego rodu Beksińskich, która się jakoś nie udała, nie sprawdziła i nie wykonuje tego, co do niej należy.

Sądzę, że ten punkt widzenia uległ pewnej zmianie w momencie jak moje obrazy zaczęły być znane, gdy coś o mnie pokazało się w radiu, telewizji. Być może wtedy w mieści zdecydowano, że nie jest ze mną aż tak źle, jak myślano.

– Często deklarował Pan niechęć do wystawiania swoich obrazów. Jak wobec tego doszło do pierwszej wystawy w Starej Pomarańczarni?

– Doszło do niej według tej samej zasady jak dochodzi do dnia dzisiejszego – ktoś chciał za mnie to zrobić. Wtedy, w Starej Pomarańczarni robili to Państwo Boguccy, a nie ja.

Spotkaliśmy się dość przypadkowo z okazji jakiejś wystawy fotograficznej. Boguckiego znał jeden z moich kolegów, chciał mu pokazać fotografie. Umówił się z nim

w mieszkaniu. W trakcie tego spotkania pokazałem zdjęcia moich obrazów – Bogucki się tym zainteresował, przyjechał później do Sanoka i on był właściwie pierwszą osobą, która mnie zaczęła lansować.

– **We wstępie do pańskiego albumu wydanego przez Arkady, napisał Pan: *Chciałbym, by moje obrazy i rysunki „przetrwały”.* Oczywiście jest to pragnienie absurdalne. Nikt lepiej ode mnie nie widzi tego, że jakiegokolwiek przetrwanie jest możliwe. Skąd ta sprzeczność?**

– To co tam napisałem to jakieś bardzo stare wyznanie. Chociaż to się tak generalnie nie zmieniło. Człowiek nie jest – z wyjątkiem zdeklarowanych paranoików – istotą konsekwentną, ma w sobie zakodowaną ambiwalencję, chciałby dwóch rzeczy, które się ze sobą nawzajem nie zgadzają.

Ja nie należę do ludzi konsekwentnych. Chciałbym oczywiście przetrwać, ale zdaję sobie sprawę, że przetrwanie jest rzeczą niemożliwą, bo jeśli nawet przetrwam sto lat, a byłoby to bardzo dużo, to nie przetrwam tysiąclecia. A wszechświat, czy świat, czy nawet nasze życie tu na Ziemi będzie trwało wiele, wiele lat. Wreszcie my staniemy się dla naszych następców tym, czym dla nas są teraz szympansy, a kogo będzie kiedyś interesować życie duchowe szympansa?

– „**Znaczenie jest dla mnie bez znaczenia**” – to chyba najczęstsza Pana deklaracja...

– Dotyczy to konkretnie tego, że ludzie nieustannie mnie pytają o co chodzi w moim obrazie, proszą żebym wyjaśnił znacznie tego, co zostało namalowane.

Nie ma żadnego znaczenia, bo obraz jest do oglądania, a nie do interpretacji. Może mieć on charakter interpretacji krytycznej, czy interpretacji z punktu widzenia sztuki, jakości namalowania obrazu i tak dalej. Natomiast pytanie o to dlaczego stoi tu

pomarańczowa postać, która trzyma w ręku niebieskie jabłko jest bez sensu ze względu na to, że malując obraz kieruję się kategoriami czysto wizualnymi. Zamiast tej postaci był na początku drzewo, a to drzewo przerobiłem na głowę, głowę przerobiłem na tułów, z boku trzeba było namalować coś niebieskiego – fajnie było namalować niebieski jabłko. Tymi kategoriami myślę o obrazie, nie myślę o tym, że niebieskie jabłko to coś konkretnego.

– Czy nie mierz Pana to, że mimo to ludzie cały czas starają się „zrozumieć” Beksińskiego?

– Już do tego przywykłem, więc przestało mnie to denerwować. Jeżeli ktoś mi zarzuca, że w danym obrazie ja namalowałem „to”. Mówię wtedy: Przepraszam bracie – ty „to” widzisz i możesz widzieć co tylko chcesz, ale nie wmawiaj mi, że ja „to” namalowałem, bo mnie wcale o „to” nie szło.

– Skoro dąży Pan do asemantyzacji swojej sztuki, to dlaczego wybrał Pan tak zsemantyzowane medium jakim jest obraz?

– Wszystko z pozoru miewa jakieś znaczenie. Oczywiście, że mógłbym wybrać muzykę, która programowo bardziej by mi odpowiadała. Nie miałem jednak przygotowania teoretycznego do jej tworzenia.

Sądzę, że więcej słucham niż oglądam, dużo więcej parafię powiedzieć na temat muzyki niż na temat malarstwa. W obrazie odczuwam niedosyt tego, co niesie ze sobą muzyka – niedosyt elementu czasu z jednej strony, a z drugiej strony tego, że nikt nie będzie mnie pytał „o co tu chodzi”. Można malować obraz abstrakcyjny, ale po pewnym czasie sztuka abstrakcyjna jakby przestawała bawić. Przez długi czas uprawiałem abstrakcjonizm, właściwie to do dzisiaj patrzę na każdy obraz jak na dzieło abstrakcyjne, tyle że posługuję się konkretnymi przedmiotami, raz je mniej deformuję, raz więcej.

W dziele muzycznym przeszkadza mi, jeśli jest to utwór śpiewany w języku polskim – jestem o wiele bardziej negatywnie uwrażliwiony na słowo niż na dźwięk. Słowo mnie żenuje, jeśli jest na dodatek zaśpiewane, wydaje mi się, że brzmi w nim fałsz. Dlatego szukam takich nagrań, które są śpiewane w języku niemieckim, francuskim, angielskim, obojętne jakim, byle nie było to po polsku.

– **Czy może Pan dokończyć zdanie: „Ekspresjonizm dla mnie to...**

– To sztuka, która mnie porusza, która mną szarpie. Chciałbym malować takie obrazy. Wiem, że niejednokrotnie, przy swojej skłonności do wykańczania, zabijam jednocześnie element ekspresyjny w obrazie. Jest to psychiczne utrudnienie, którego nie potrafię przeskoczyć. Obraz namalowany szybkimi chlapnięciami po prostu mi się nie podoba.

– **Jak Pan wytłumaczy swoją większą popularność za granicą niż w Polsce?**

– Ale ja nie jestem wcale bardziej znany za granicą niż w Polsce! To taki mit, który gdzieś się wytworzył, ktoś coś napisał i dlatego szereg osób tak uważa. Może wzięło się to stąd, że prawie przez jedenaście lat byłem związany kontraktem paryskim. Zerwałem ten kontrakt w listopadzie ubiegłego roku, zapłaciłem wysokie odszkodowanie – musiałem oddać bezpłatnie 50 obrazów, czyli dwa lata własnej pracy. Nie mogłem jednak w tym chomącie wytrzymać. Być może moja decyzja była niekorzystna z finansowego punktu widzenia, ale po prostu w pewnym momencie ma się dość nawet pozłacanej klatki.

– **Waldemar Siemieński napisał o Pan: *zjawisko tej miary nie może pozostać nienazwane. Chce Pan, żeby ktoś znalazł nazwę dla pańskiej twórczości?***

– Tak, jak ktoś chce... Mnie jest to w zasadzie obojętne. I tak będę musiał przetrwać – jeśli w ogóle przetrwam – jako coś nazwanego. Najprawdopodobniej przetrwam nie za to, za co bym chciał przetrwać. Przypomina mi się znany paradoks Conan Doyle'a, który przez

całe życie pisał powieści historyczne i metafizyczne, a żeby mieć za co przeżyć, pisał opowiadania o Sherlocku Holmesie. Mimo to wszyscy kojarzą go jako autora kryminalnych historyjek, którym pogardzał jako dziełem i które służyły mu wyłącznie do zarabiania pieniędzy.

– Maluje Pan słuchając muzyki. Czy wpływa ona na kształt Pana obrazów?

– Bezpośrednio chyba nie ma wpływu konkretnego utworu, czy konkretnego typu muzyki na konkretny obraz. Istnieje natomiast postrzeganie obrazu tak jak postrzegam muzykę, aczkolwiek nie wiem czy postrzegam muzykę w sposób właściwy – nie dyskutuję na jej temat z kompozytorami. Oni widzą muzykę bardziej „od kuchni” tak jak ja widzę malarstwo. Oni odbierają malarstwo bardziej emocjonalnie nie widząc „kuchni”, ja odbieram muzykę emocjonalnie nie widząc „kuchni”. Wydaje mi się, że robię przy pomocy obrazu coś podobnego do dziewiętnastowiecznego poematu symfonicznego, ale czy to prawda, czy kompozytorzy zaakceptowali ten punkt widzenia – nie wiem.

– Dlaczego zdecydował się Pan na wystawienie swoich obrazów w Muzeum Archidiecezjalnym?

– Wynika to z umowy między moim wspólnikiem z Paryża, a Muzeum Archidiecezji. Oczywiście przyczyniłem się do tego, ale nie z przyczyny moich ścisłych związków z kościołem, bo one praktycznie nie istnieją, ale z powodu mojej znajomości z księdzem Przekazińskim – dyrektorem tej placówki – i kameralnych sal w budynku muzeum. Niestety otwarciu wystawy nadano charakter imprezy kościelnej. Otwierał ją kardynał Glemp, było tam mnóstwo dostojników Kościoła. Uciekłem z tego otwarcia. Po pierwsze dlatego, że nie lubię wernisaży, po drugie nie chciałem znajdować się w takiej sytuacji ponieważ – jak mówię – moje związki z Kościołem praktycznie nie istnieją.

– Czy może wymienić Pan czynniki składające się na pański sukces?

– Nie wiem czy osiągnąłem sukces, a na pewno nie osiągnąłem go w takiej postaci jak sobie wyobrażałem. Myślę, że wszystko co stało się w moim życiu jest kwestią przypadku.

Rozmawiał Paweł Rawicki